

Wojciech Żukrowski – *Kaskada Franchimont*

„Nowa Kultura”
nr 23 z 1962 r.

Czasem nawet i nam, pisarzom, a więc znającym literaturę od strony kuchni, zdarza się przeczytawszy jakąś stronicę książki, poczuć wzruszenie. Coś tam drgnęło w sercu współbrzmieniem. I wtedy przychodzi chęć, żeby poznać się z autorem, sprawdzić, jaki jest on na co dzień, ile ma wspólnego z tym, co nas poruszyło? Zwykle kończy się tylko na pragnieniu, nie ma okazji do spotkania, brakuje nam czasu... A należało zaufać podświadomemu sygnałowi, trzeba się było pośpieszyć.

Pierwszą książkę Władysława Zambrzyckiego czytałem jeszcze przed wojną, rozkoszną opowieść o ludziach współczesnych, sprytnych i obrotnych, którzy potrafili smakować dary życia, zabłąkanych w czasy rzymskie. Typowa lektura rozrywkowa, a przemycająca ziarna pogodnej mądrości, wyrosła z cierpkiego doświadczenia lat. Książka ta z miejsca zyskała zasłużoną popularność, dziwię się, że dotąd nikt z reżyserów po nią nie sięgnął, przecież ma gotowy scenariusz zgrabnej komedii...

Po wojnie, gdy tylko ukazało się nowe wydanie „Naszej Pani Radosnej” stwierdziłem, że powieść wyszła zwycięsko z próby czasu, nadal bawi i cieszy... Postanowiłem poznać jej autora żyjącego w ukryciu, poza naszym literackim światkiem. Od postanowienia do wykonania minęło, jak to w życiu bywa, sporo latek.

Wyszła „Kwatera Bożych Pomyśleńców”, opowieść o starych ludziach, nieprzydatnych już do działań wojskowych, zagubionych w ognistym kręgu płonącej powstańczej Warszawy. Od chwili, kiedy zagładę przyjęli jako kres oczywisty i nieunikniony, śmierć przestała ich straszyć. Żyją swoim własnym, choć wcale nieodizolowanym od życia walczącej stolicy rytmem: woda, strawa, przyjazna pomoc sąsiedzka w miarę wątłych sił i opowieści o dziwnych wydarzeniach z przeszłości; dzielą się dawnymi doświadczeniami, wbrew grozie odnajdują złoza pogody i franciszkańskiej życzliwości. Książka tak odmienna od wszystkich relacji uczestników wojny, że musi zastanowić i urzec czytelnika. Książka, która jedna z życiem nawet najtrudniejszym i uczy doceniać nietrwałe blaski, dłoń przyjaciela, wagę wyszeptanego zwierzenia. dobra książka. Dwa jej wydania zniknęły z półek.

Potem wyszedł „Pamiętnik Filipka”, stawiam go w dorobku Zambrzyckiego najwyżej. Są w nim zawarte wszystkie cechy jego talentu, a więc dobra anegdota wyluskana z rozlicznych lektur, humor zmieszany z rzewnością i owa typowa dla niego mistyfikacja, znakomite podrobienie autentyku, które uwielbiał, ta wierność szczegółom, konieczna, żeby wodzić za nos czytelnika, uzyskać całkowite złudzenie prawdy. Jest to umowna gra, na którą chętnie przystajemy, bo zapewnia nam i zabawę i to szczypanie pod powieką, szczere wzruszenie. Zambrzycki był majstrem wysokiej klasy. Teraz to dopiero w pełni widać.

Ciężko chory na serce, dręczony astmą, przez pięć lat był dobrowolnym więźniem. Mieszkał na Saskiej Kępie. Odwiedzałem go, drobny, siwy, osnuty dymkiem papierosa i zapachem kawy, które sobie dozując rozkosze po odrobinie wydzielał, zasypywał mnie dociekliwymi pytaniami o tybetańskie obyczaje, o ślady nestorianizmu u buddystów, o somiurę, czyli sos z gnijących ryb... Interesowało go wszystko, co dziwne i niezwykle, gromadził ciekawostki z gazet, relacje wypadków, które tylko los może skonstruować, grzebał w encyklopediach i pamiętnikach. „To wszystko się przydaje, po prostu lubię wiedzieć” – mruczał, kiedy osaczony jego pytaniami odkrywałem całe obszary swojej niewiedzy. „Jestem jak skrzętna kurka, z takiego śmietnika, jakim jest gazeta, też sobie wygrzebię ziarenko prawdy...”.

Rozmowa z nim była prawdziwą przyjemnością. Lubilem te gawędy. Niewielu kolegów go odwiedzało. Wiem, jaką przyjemność sprawił mu Budrewicz obwoząc po odbudowanych dzielnicach Warszawy. Prawdziwa wyprawa raz na parę lat. Odkrywane nieznanego mu miasta. Opowiadał mi o tym szczerze wzruszony. Notuję ten fakt, rzadki objaw serca w naszym środowisku.

Do ostatka pisał, zachował umysł żywy i niespokojny. Prowadził w „Expressie” rubryczkę ciekawostek, bardzo lubianą. Tam właśnie sypał garstkę anegdot, ciekawych spostrzeżeń, swoistą mieszankę wiedzy, blagi i humoru. Lubił nabieranie, opisywał nieprawdopodobne wydarzenia tak starannie dobierając elementy autentyczne, że nikt bez narażenia się na zarzut tępoty i pedanterii nie ośmieliłby się jego relacji podważać. Miał całą swoją teorię „łgarstwa w wielkim stylu”, jak to skromnie nazywał, czyli – co tu dużo gadać – twórczości. Był zjawiskiem odrębnym na firmamencie literackim, choć nazywał się zawsze tylko – dziennikarzem, dziś w pełni widzimy, że był to pisarz o wyraźnie zarysowanej indywidualności.

Zamiast mówić o jego ostatniej książce rozgadałem się, powiodłem was manowcami. Ale jeszcze jestem pod wrażeniem tej nagłej śmierci, bo już było tak dobrze, już ustały ataki dusznicy, nawet na papierosika mógł sobie pozwolić... Zostawała tylko rekonwalescencja, pobyt w sanatorium... Na parę dni przed zgonem dostał swą ostatnią książkę: „Kaskadę Franchimont”. Niechże miarą sympatii, jaką go darzyli liczni czytelnicy będzie fakt, że nie tylko redaktorzy z wydawnictwa „Czytelnik”, ale drukarze, zecerzy wychodzili ze skóry, by mu pierwsze egzemplarze w porę dostarczyć. Zdążyli. Cieszył się nimi jak dziecko. Cieszył się niedługo.

„Kaskada Franchimont” przypomni wszystkim amatorom pogodnej lektury bohaterów „Naszej Pani Radosnej”, to książka o nieprzemijającej urodzie życia, o pokarmach ziemskich, uciechach powszednich stołu, łoża i zarazem wykład filozofii zmieszanej z kpiną, zalecenie pomocy, ale przez dyskretny kawał, żart nieponizający litością, żadna jałmużna, a po prostu odruch serdeczny mądrego człowieka, który kocha świat.

Cóż mogę więcej? Sięgnijcie po „Pamiętnik Filipka”, „Kwaterę Bożych Pomyśleńców”, „Kaskadę Franchimont”, grzejmy się w ciepłe uśmiechu Władysława Zambrzyckiego.